DZIKA GĘŚ.

(*Anser anser*).

3

We wrześniu i październiku, coraz rzadziej odwiedzała miejsca rodzinne wylęgła na stawie gęsia gromada. Upływały dwa, trzy tygodnie: od czasu do czasu mili goście dni letnich i wiosennych pojawiali się na bardzo krótko. Stanowić to mogło li tylko strzały wypadkowe – w okresie regularnych już podówczas polowań na kaczki.

Ptaki nauczone gruntownem, jak widać, doświadczeniem — były nadzwyczaj ostrożne — długo, na niebotycznej nieraz wysokości krążyły przezornie nad stawem i dopiero należycie zbadawszy okolice — na krótką chwilę zapadały na czystą wodę—zdala od wszelkich szuwarów i zarośli.

Godziny ich przylotów były też bardzo nieokreślone. Najczęściej popołudniowe.

Trzeba było mieć szalone szczęście oraz cierpliwość zaiste Irokeza, żeby nareszcie doczekać się dnia i czasu ich wypadkowego nadlotu.



DZIKIE GĘSI.

Lecz za to i tryumf zdobycia podobnie mądrego okazu—jednego z potomków zbawców Kapitolu—bywał też nielada.

Na postrzał wówczas były zdumiewająco

twarde — należało używać numeru 0 — lub loftek nawet — i to pod pierze zawsze, gdyż podobnie upierzonej, jesiennej gęsi pierś przypomina pancerz rycerza średniowiecza.

O ile mogłem zbadać ku końcowi lata i jesieni, aż do chwili ostatecznego odlotu, miejscowe stada tułając się po większych wodach Ukrainy, Wołynia i Podola — odwiedzały też Dnieprowskie Limany, oraz delty innych rzek wpadających do morza Czarnego. Żerowały zaś, oprócz żyznej Kijowszczyzny — też na bezmiernych przestrzeniach Chersonezu, Ekaterynosławia ba! Zagłębia Донieckiego nawet!

Lecz przywiązanie do miejsca rodzinnego widocznie było bardzo silne – gdyż oczywiście takie „pławnie" Dniepru mogły stanowić dla stad daleko pewniejsze schronienie, niż mój trzystumorgowy staw Horyczny.

Pokarmu nie brakło na dawnych „Dzikich Polach"—w kulturze rolnej też będących (w przedbolszewickich warunkach naturalnie)—zresztą, moc chwastów, ziół i roślin przestrzeni stepowych stanowiła obfity żer dla wszelkiego dzikiego ptactwa.

A jednak...

Jakby tęsknotą wiedzione — nawet wówczas, gdy już z dalekich tundr Laponji—ciągnęły na południe, do krain słońca i ciepła, klucze przelotnych ich sióstr—miejscowe gęsi do ostatnich chwil powracały jakgdyby rozstać się nie mogły z kolebką dni swoich.

Zaobserwowałem, że wędrowne, północne stada prawie nigdy o dziennej porze na staw się nie opuszczały.

Można je było widzieć, jak czujne wystawiwszy czaty, na zupełnie odkrytych polach, przeważnie obsianych oziminami, czasami nawet na ugorach, nibyto spokojnie żerowały. Miejsca ich pobytu jednak zawsze znajdowały się w znacznem oddaleniu od wszelkich jarów, wąwozów, rowów i jakichkolwiekbądź zakryć—skąd by do nich podejście na strzał umożliwione być mogło.

Późno, dopiero o kompletnym zmroku, zlatywały się na staw (i to nie codziennie i nie na ten sam wodozbiór). W pewne ciemne, lub mgliste od szarug jesiennych, noce—aż powietrze drgało czasami od ich melodyjnego gęgania.

Może być, że wybudowawszy, tak zwany przez francuskich myśliwych*) „gabion" w miejscu odpowiedniem — lub też przy księżycu mając łódkę „kanadjerkę" („canadiere"—z potężną strzelbą, istną „kolubryną" — rodzaj armatki na przedniej części łodzi umocowanej), z której się wali do stad na jakie paręset i więcej kroków — celując prosto w czerniejącą na wodzie plamę z przelotnych okazów wodnego ptactwa złożoną — łatwemi być mogły prawdziwe rzezie gęsio-kacze.

Lecz raz jedyny spróbowawszy we Włoszech, na jeziorze Varese w Lombardji, w całej pełni delicji tego rodzaju łowów, po jednej wyprawie mej, przy podobnej torpedowo-myśliwskiej nawigacji, raz na zawsze zrezygnowałem ze wstrętem ze sportu tego rodzaju.

Urządzenie budek czyli kurzeni — dopuszalne ze względów etyki łowieckiej—jednakże na mniejszych wodach, w stosunku do gęsi daje rezultaty nie szczególne (wyborny środek na kaczki przelotne)—gdyż trzeba zaiste anielskiej cierpliwości, żeby doczekać się nareszcie upragnionych gości na strzał.

Owszem! – miewałem w środku Horycznego tego rodzaju zakrycia, zabiłem wypadkowo późną już jesienią pod ich osłoną nawet kilka sztuk gęsi, strzelałem parę razy do łabędzi, lecz w owej zamierzchłej epoce, tyle się już nastrzelało wspaniałych „Anser, anser" latem, i z podjazdu i z nalotu i dniem i rankiem i wieczorem, że doprawdy całemi nocami czatować z wielkim znakiem zapytania nawet, co się tyczy możliwości ich ujrzenia—jakoś to nie rozpalało żyłki Nemrodowskiej. Tembardziej, że oczekując na gęsi, oczywiście wszelkie strzelanie do przeciągających kaczek—wykluczone gdyż wielce ostrożne ptaki, szczególnie o tej porze roku—zboczą nieuchronnie pod wrażeniem wszelkiej kanonady. A wtedy to, z podobnej budki, nocą szczególnie, zdobyć można niejeden ciekawy bardzo egzemplarz sławetnego kaczo-nurkowego rodu. I zdobywało się nieraz! i nie mało!

Dowodem była bardzo ciekawa moja ornitologiczna kolekcja w Wierzchowni — wypchanych, prawie że wszystkich gatunków nasz kraj w przelotach odwiedzających. Oczywiście przez bolszewików w swoim czasie sprawnie bardzo została „znacjonalizowana" — „vulgo" — zrabowana — jak i wszystko zresztą. Jeszcze w listopadzie, kiedy przelotne gęsie „klucze" ostatecznie już wyemigrowały, a wody wszelkie zamarzły — widzieć u nas można było kilka pojedyńczych zapóźnionych gęsi miejscowych, które zdecydować się nie mogły na ostateczne rozstanie się z szuwarami, co dały im życie i miłości zapały śród czarów Przyrody Ojczystej!

Adam hr. Rzewuski.

(Dok. nast.)

*) Mała chatynka-budka, na wodzie zbudowana, misternie roślinnością zamaskowana, na skutek czego żadnej nieufności śród ptactwa nie wzbudza—z otworami do strzelania, całym arsenałem rozmaitego kalibru broni — łóżkami do odpoczynku — elektrycznem światłem nawet niekiedy—zastosowywaną szeroko bywa w półroczu zimowem na wodach Francji, szczególnie w tak zwanej zatoce Sommy (baie de Somme).



Na Pamirach i w pustyni Raskiemu.

2

Po rozejrzeniu się w sytuacji okazało się, że afgańczycy zająwszy Badachszan oraz Pamirskie Chaństwa Wachan i Szugnan — zatrzymali się na linji rzeki Wachan-Darji (drugie źródło Amu-Darji), która stanowi granicę właściwych Pamirów z zachodu. Przednie zaś straże chińskie zajęły linję wzdłuż pasma gór Sarykolskich, okalających Pamiry na wschód. Rzadkie auły pamirskich Kirgizów bojąc się wpaść w zawieruchę wojenną— odeszły za chińskie straże przednie i całe płaskowzgórze Pamirów, zajmujące jak mówiłem około 70.000 kw. kilometrów byłoby zupełną pustynią, gdyby nie pojawianie się od czasu do czasu lotnych oddziałów afgańczyków lub chińczyków, z których pierwsze goniły uciekające grupy Szugnańczyków i Wachańczyków, drugie zaś odstawiały uchodźców z tych krajów, złowionych na wysuniętych placówkach chińskich i oddawały w ręce afgańczyków.

Z jeziora Jaszyl-Kula wypływa rzeka Gunt, która wpada do Wachan Darji tuż przed portem Kała-i-Bak-Piandż, zajętym przez sztab pogranicznych wojsk afgańskich. Skorzystałem z tego i przez Mastona, zwolnionego z niewoli oficera afgańskiego, posłałem nowy list do Głównodowodzącego Sza-Seid-Dzarnejla, że jestem na Pamirach i będę cierpliwie czekał na odpowiedź emira Abdurachmana w sprawie pozwolenia na przejście do Kafiristanu. Maston przebył z nami miesiąc, zżył się z kozakami, nosił kozacki mundur, wiedział, że nie agitujemy przeciwko afgańczykom, nie popieramy insurekcji pieniędzmi i bronią — mógł więc z czystym sumieniem zaświadczyć o specjalnie naukowych celach ekspedycji.



Balkony nad rzeką Piandż. *(Zdjęcie gen. Grąbczewskiego)* *)

Z odjazdem Mastona zostaliśmy zupełnie sami,

*) Fotografje te ukażą się w III tomie „Podróży“ gen Grąbczewskiego. Tom III wyjdzie niebawem nakładem Gebethnera i Wolffa.

w pustyni o kilkaset kilometrów od najbliższej granicy Rosji i przytem otoczeni wrogiemi siłami, o podnieconych wojną namiętnościach. Pomimo to, nie mogłem opuścić Pamirów, nie mając w ręku piśmiennego dowodu, że zrobiłem wszystko, co było w mocy ludzkiej, aby dopiąć głównego celu ekspedycji — zbadania Kafiristanu.

W czasie czekania na odpowiedź—zająłem się wszechstronnym zbadaniem Pamirów, robotami topograficznemi, astronomicznemi, określeniem pasem górskich, i wysokości przełęczy i t. d. Prócz tego polowałem na zwierzynę, jaka tylko się zjawiła, bijąc bez wyboru wszystko, gdyż musiałem zaspokoić wilcze apetyty 13 ludzi. Właściwie polowaliśmy we trzech: ja, myśliwy krajowiec z Ałaju, obeznany z polowaniami w górach i jeden z kozaków podręcznych. Wszystkim innym członkom ekspedycji, chociaż byli uzbrojeni w karabiny Berdana, strzelać nie było wolno ze względu na konieczność oszczędzania ładunków, których w długich podróżach nigdy niema się zawiele.

Biliśmy przeważnie grubą zwierzynę: dzikie barany (ovis poli i ovis argali), niedźwiedzie tybetańskie, dzikie kozy i t. d. Zające, których były nieprzebrane ilości, zabijaliśmy tylko wyjątkowo, z braku innej zwierzyny, gdyż ludzie nie jadali zajęczego mięsa. Łabędzi i gęsi było nie wiele, czerwone kaczki pamirskie nie były smaczne (mięso rybami czuć). Dzikie indyki i kurki górskie trzymają się przeważnie w skalistych górach i na Pamirach spotyka się je rzadko.

Przechodząc często z miejsca na miejsce obeszliśmy Wielki Pamir, jezioro Zurkul (Wiktorji) i Mały Pamir, stanowiący podnóże Hindukusza. Zwykle wybierałem ukryte miejsce, przy rzeczce lub jeziorze, z łąkami pokrytemi piękną trawą, na których odżywiały się nasze konie. Rozbiwszy w takich miejscach obóz, zostawiałem go pod ochroną kozaków i mego sekretarza Mizza Fazył Beka, który służył u mnie już lat dwanaście. Ja dostarczałem mięsa, kozacy łowili ryby, które znajdowały się w bajecznej ilości. Były to łososie bardzo smaczne i pożywne, które doskonale się suszyły; nimi napełnialiśmy wózki opróżnione z mąki lub jęczmienia dla koni.

Na tych zajęciach upłynął nam sierpień i wrzesień.

We wrześniu temperatura znacznie się oziębiła i przymrozki nocne, oraz silne wiatry stale się zwiększały; oprócz tego w ostatnich dniach miesiąca spadły głębokie śniegi. Na Pamirach drzewa niema zupełnie (średnia wysokość płaskowzgórza 4.000 m., i przełęczy około 5.000 m. n. p. m.), a za opał służy tylko pomiot dzikich zwierząt. Z pod śniegu wydobywać pomiot było bardzo trudno, a ponadto był on mokry i niechciał się palić; tymczasem mrozy nocami dochodziły do 20° C. i pobyt w namiotach stawał się niemożliwy.

Nakoniec 1 października st. stylu zjawiło się kilku kawalerzystów afgańskich, pod białą flagą i starszy oddał mi list od głównodowodzącego armją okupacyjną, Sza-Seid Dzarnejla, w którym mi donosił, że emir Abdurachman kategorycznie odrzucił prośbę moją i że wskutek tego nie może mi pozwolić na przejście do Kafiristanu; radzi natomiast abym zaprzestał włóczęgi koło granic Afganistanu, gdyż równocześnie wydał nakaz pogranicznym oddziałom ścigać całą ekspedycję.

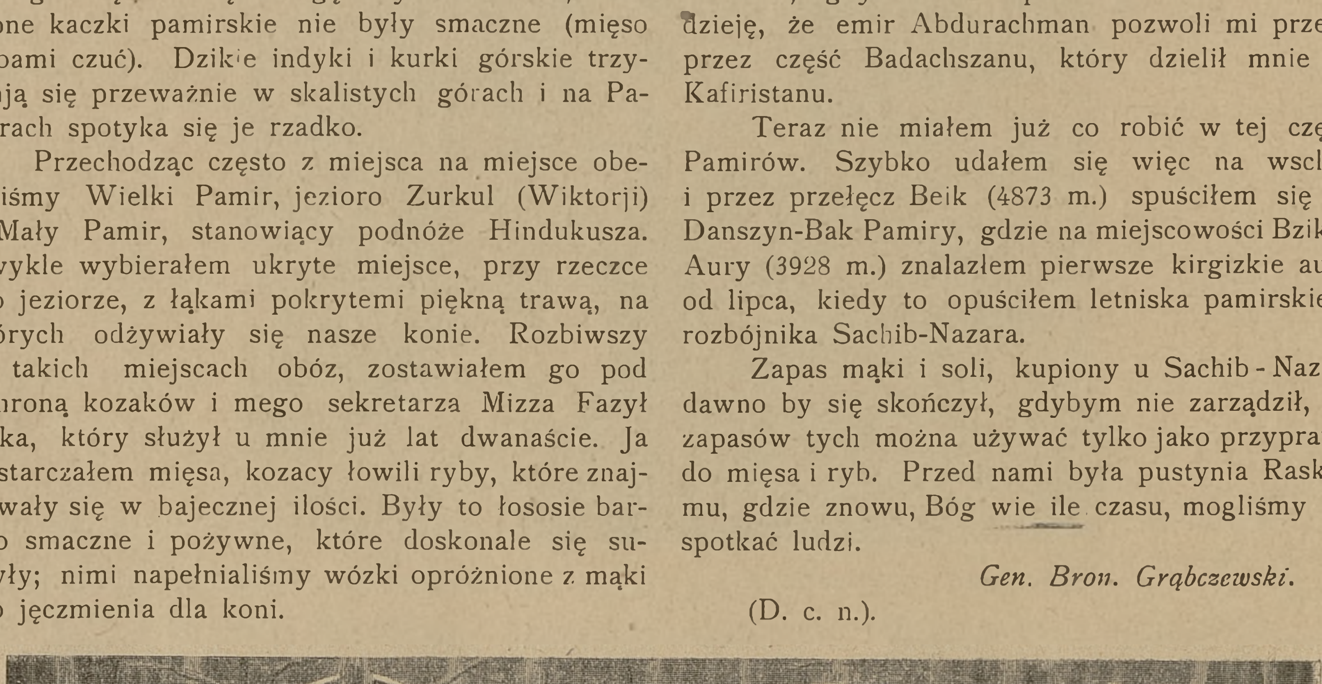
List doręczono mi u źródeł Bachan Darji, u Bozaj-i-Gumbeza (4029 m.), zaledwie 12 kilometrów od afgańskiego oddziału, który zajął fort Wachan, gdyż brak odpowiedzi dawał mi nadzieję, że emir Abdurachman pozwoli mi przejść przez część Badachszanu, który dzielił mnie od Kafiristanu.

Teraz nie miałem już co robić w tej części Pamirów. Szybko udałem się więc na wschód i przez przełęcz Beik (4873 m.) spuściłem się na Danszyn-Bak Pamiry, gdzie na miejscowości Bzikny Aury (3928 m.) znalazłem pierwsze kirgizkie auły, od lipca, kiedy to opuściłem letniska pamirskiego rozbójnika Sachib-Nazara.

Zapas mąki i soli, kupiony u Sachib-Nazara dawno by się skończył, gdybym nie zarządził, że zapasów tych można używać tylko jako przyprawy do mięsa i ryb. Przed nami była pustynia Raskiemu, gdzie znowu, Bóg wie ile czasu, mogliśmy nie spotkać ludzi.

Gen. Bron. Grąbczewski.

(D. c. n.).





PAROSTKI KOZŁA I ICH ZNACZENIE DLA ŁOWIECTWA.

3

Ogryzanie drzew w mniejszej, lub większej mierze zależy nieraz od stanu powietrza w zimie. Po łagodnej i bezśnieżnej zimie, jak to było w obecnym roku, zauważyć się daje chciwe ogryzanie. Wyjaśnia się to tem, iż obumarłe źdźbła trawy i słoma są wyługowane z części mineralnych przez deszcze i powodują u jeleni i sarn nie tylko wielką chciwość wapna, ale wytwarzają także zaburzenia w trawieniu.

Aby zapobiedz szkodom, lub je pomniejszyć, powinno się zwierzynie dać sposobność dostatecznego zaspokojenia potrzeby wapna materjałem korzystnym do tworzenia się rogów, i to przez podawanie zwierzynie preparatów z fosforanem wapna, które w odpowiednich miejscach w formie lizawek należy umieszczać. Przez to zmniejsza się znacznie ogryzanie, a często usuwa się je zupełnie. Odnośne doświadczenia i spostrzeżenia wykazały, że wystawienie takich lizawek sprawiło nawet, iż samice rodziły silniej rozwinięte cielęta i koźlęta. Ogryzanie ustało prawie zupełnie, a szkoda wyrządzona była nieznaczną.

Z powyższego widzimy, iż wpływy wewnętrzne t. j. pożywienie nie małą odgrywają rolę tak przy wykształceniu zwierzęcia, jak i jego parostków. Z tego można wynieść naukę, iż przez racjonalne gospodarstwo łowieckie jest się w możności udoskonalać je coraz więcej. Środki do tego służą różnorodne; wszystkie je trzeba mieć na uwadze, chcąc osiągnąć zamierzony skutek. A więc zapobiedz też trzeba zwyrodnieniu kozłów, które powstaje z najrozmaitszych przyczyn. Nasamprzód z nieodpowiedniego stosunku płci, spowodowanego przez zbyt liczne hodowanie kóz. — Natura sama daje wskazówkę hodowcy, równoważąc liczbę potomstwa płci jednej i drugiej.

Jest to faktem popartym licznemi doświadczeniami hodowców, jak np.: H. Sylwy, jak bardzo waga, wielkość i siła wieńców i parostków zależy tak samo u jeleni, jak i kozłów od działania części płciowych. Jakiekolwiek obrażenie okolicy jąder tak samo jak nadużycie funkcji płciowych, zwłaszcza u darniaka (słabego kozła) powoduje powstrzymanie i upośledzenie w rozwoju tej ozdoby i środka obrony zwierzyny. Przyczyna zwyrodnienia usunięta być więc może tylko przez odpowiednie regulowanie zwierzostanu ze względu na stosunek płci i jakość kozłów. Przecież żaden inteligentny gospodarz nie będzie używał do rozpłodu w swem gospodarstwie słabych, lub niekształtnych reproduktorów, bo wie dobrze, iż produkty równie nędzne by były, — a poeta przyrodnik Goethe powiedział „klątwa jest to złego czynu, że zło dalej płodzić zniewolony“.

Jako przykład posłużyć może, co ogłosił Karol Brandt w „Wild und Hund“. W Gründelwalde, pod Nienburgiem miały kozły szczególne parostki częściowo w formie tulipanów, częściowo liści palmowych. Autor ten donosi, iż już przed 40 laty zauważono tam kozły z podobnemi parostkami. Nie ulega więc wątpliwości, iż obecnie tam urodzone niezwykłe okazy muszą być następcami w wyżej wymienionym czasie żyjących przodków.

Niemniej zajmujące zdarzenie o odziedziczeniu nienormalnych parostków podaje Freiherr v. Münchheusen z Neuburga. Tam zauważono przed kilku laty kozła, którego parostki o tyle były nienormalne, iż prawa tyka w środku swej długości miała nadłamania, z którego to miejsca górna część była w tył zakrzywiona. Druga tyka zaś normalna. Po kilku latach znalazło się kilka zupełnie podobnych młodych kozłów, po których wszakże odstrzeleniu odmiana ta się już więcej nie powtórzyła.

Powracając do właściwego tematu, należy czy-

telnika w pierwszym rzędzie zaznajomić ze zdarzającymi się odmianami i zboczeniami od prawidłowego powyżej już opisanego typu parostków. Aby je wszystkie wymienić, należałoby powtórzyć



(Fig. 1).

całe dzieło Brandta, odbić wszelkie tam znajdujące się illustracje, a jak to poniżej czytając widzieć będziemy i wówczas jeszcze nie sprostałbym całkowicie zadaniu. Aby więc posłużyć się rzeczą nową umieściłem tutaj jako przykłady podobizny z własnych zbiorów i illustracji, wyjątkowo tylko zamieszczając z dzieła Brandta te okazy, których moja kolekcja nie posiadała.

Jaka istnieje łączność organiczna pomiędzy częścią rodzajową zwierzęcia, a więc jak u kozła jądrownikiem, a jego parostkami, to udowadnia najlepiej każdy kozioł, jeżeli go się po zrzuceniu parostków, lub w pierwszym czasie tworzenia się nowych, wykastruje. Odrastające tyki nie tracą omszenia, po roku zaś w mchu parostków tych nie zrzuca, lecz od tego czasu tworzą mu się neoplasmy (nowotwory), które najdziwaczniejsze przybierają formy. Niektóre wyrastają w górę, zakrywając zupełnie kończyny, inne znów zwisają ku dołowi, zasłaniając nieraz oczy zwierzęcia. Załączona illustracja wykazuje pierwszą formację. Dr. Roesig, jak i R. Brandt podają kilkanaście przykładów wraz z podobiznami o tworzeniu się tych anomalji u kozłów w domu chowanych, które dla ich złośliwości wykastrowane być musiały. Formacja perukowa odbyła się tu więc pod dokładną obserwacją ludzi fachowych, w jednym tylko przypadku opisuje R. Brandt własne odmienne zdarzenie, połączone z niezwykłą przygodą.

Strzelany przez niego kozioł padł na miejscu. Nadbiegł leśnik i naprzód mu, według zwyczaju, moszny worek oderżnął, a następnie, gdy ten cewkami bić począł, nóż zagłębiając w czaszce dobić usiłował. Ale tu dzieje się coś niezwykłego! Z ułamanym czubkiem noża w głowie, wyrywa mu się kozioł z pod ręki i znika w pobliskich zaroślach. Wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne. Dopiero po pięciu latach ten sam niefortunny leśnik ubił w swoim rewirze perukowego kozła: brak jąder, zabliźniona rana od kuli, jako i w czaszce tkwiący ułamany koniec noża udowodnił, iż był to ten sam postrzałek. W tym wypadku tworzenie się narostu perukowego trwało więc pięć lat, co znów udowadnia, iż lepsze, lub gorsze paszenie ma niepośledni wpływ na wykształcenie się parostków.

Zdarza się wszakże, iż mimo normalnych jąder wyrastają kozłowi perukowe parostki: przyczynę ich powstania różni badacze rozmaicie tłomaczą.

Dr. Roesig i H. Nitsche sądzą, iż odmiany te, a szczególnie pęcherzyki, wyrastające nieraz w formie peruk (podobizna w zeszłym n-rze. Przyp. Red.) powodują owady zapuszczające jajka w miękki naskórek rogów, a więc podobnie, jak galasówki dębowe. Grashey, powaga na polu badań w dziedzinie łowieckiej, słusznie zauważa, iż niema owadu,



(Fig. 2).

któryby w styczniu i w lutym jajka znosił. Nienormalności te najprawdopodobniej pochodzą z uszkodzenia, odłamania, lub nagięcia miękkich, w osuszeniu jeszcze znajdujących się parostków i przez

utkwienie w nich twardych przedmiotów, jak iglic, ciernia i t. p. Może też i skutkiem infekcji, t. j. zakażenia komórek siatkowych, spowodowanych także uszkodzeniem.

Jak widzimy rzecz ta jest jeszcze sporną pomiędzy fachowcami i nie we wszystkiem wyjaśniona. Najprawdopodobniej wszakżeż, jak przypuszcza K. Brandt, a do czego i ja się przychylam, szukać trzeba i tutaj przyczyny nienormalności w jajniku, który tylko pozornie jest normalnym. Tylko ścisła sekcja mogłaby udowodnić, czy nie znajdowały się tam zboczenia części rodzajowych. Jako dowód słuszności tej hipotezy służyć mogą sarny obojniaki (Hermafrodyty) u których zdarza się przeważnie, iż wyrastają im albo normalne, albo i perukowe parostki. W muzeach przyrodniczych znajdujące się okazy, udowadniają to dostatecznie. Natura wszakże, która, jak to wiemy w pomysłowości jest niedościgniona i nie wyczerpana i tutaj ustanowiła wyjątek, gdyż obserwowano sarny z parostkami karmiące młode. Od tego niezwykłego i, rzec można, nienaturalnego zboczenia parostków przejść nam należy i przedstawić regularny, czyli typowy okaz parostków. Powstanie ich opisałem już powyżej, a jako okazy podaję 3 podobizny trofeów zdjętych podczas pierwszej i drugiej wystawy poznańskiej. Są to złotym medalem nagrodzone parostki Z. hr. Gorzeńskiego, St. hr. Łąckiego i St. Morawskiego. Widzimy tam, co jest ich największą ozdobą i osobliwością obok silnych łodyg, piękne uperłowienia. (Fig. 1 i 2).



(Fig. 3).

Lubo, tutaj widzimy okazy niezwykłe, to wszakże sześć kończyn nie jest jeszcze ostatniem słowem wydajności czaszki naszego kozła. Zdarzają się wypadki, iż osiem, a nawet 10 odnóg, jak u jelenia, na jednej parze rogów naliczyć można.

Jest jeszcze jeden okaz nader rzadki i dlatego przez znawców i amatorów nadzwyczaj ceniony: róg krzyżowy, czyli tak zwany krzyżak, u którego trzy końce jednej odnogi krzyż tworzą. Zdarza się to zwykle u jednej tyki, rzadko u obydwóch. U siebie miałem okaz taki raz jeden tylko, i to w roku 1898. Niezwykłe te parostki zdobył wówczas p. Fr. Mlicki z Obudna i jest w ich posiadaniu.

Co na tych ilustracjach widzimy, jest słabszym, lub silniejszym, ale zawsze normalnym okazem parostków. Jakie wszakżeż się zdarzają niezwykłe zboczenia od powyższych, przekonać się możemy z kilku przykładów, które podaję w następnych ilustracjach.

Zboczenia te powstają w czasie omszenia, czyli tworzenia się rogów cerwidów*) w okresie, gdy masa rogowa podobną jest do gałązek latorózgi, w której dokonać by można różnych okulizacji (szczepień) podobnie jak w drzewach owocowym, lub różach. Niejako z wszczepienia wytworzył się też okaz w fig. 3 przedstawiony, a powstał on, jak twierdzi H. Brandt w perjodzie tworzenia się, gdy pomiędzy obydwie do siebie zbliżone tyki dostała się przypadkowo gałązka z drzewa. Kozioł przez gwałtowne usunięcie takowej uszkodził scypuł (mech) podobnie jak się rozżyna korę przy okulizacji, co w następstwie wywołało zrośnięcie obydwu tyk w jedną odnogę i utworzenie tak niezwykłego trofeum. Pochodzi ono ze zbiorów Ludwika Beckmana. Od początku zdarza się wszakże, że przez uszkodzenie w mchu będących parostków jedna z tyk, niekiedy i obydwie zostają rozdzielone. W jaki sposób się to odbywa można sobie łatwo wytłomaczyć. Scypuł uszkodzony został z jakiegokolwiek powodu w poprzek łodygi i to dość głęboko. Zanim wszakże rana się zagoiła rozpo-



(Fig. 4).

*) Mówiąc ogólnie o cerwidach, czyli o kopytowej zwierzynie, zniewolony jestem używać wyrażenia niemyśliwskiego „rogi“, gdyż niestety gwara nasza nie posiada oznaczenia odpowiadającego niemieckiemu „Geweih“.

częły się wydzielać nowe warstwy, podobnie jak u złamanego drzewa gałązki, w ten sposób, iż wkrótce powstała rana znalazła się pomiędzy dwiema odnogami.



(Fig. 5)

Wyrastają one w dwie równoległe tyki, czasem równe w sile i długości, czasem o rozmaitych gałęziach, zależnie od uszkodzeń, które te nowotwory utworzyły. Fig. 4 przedstawia nam w ten sposób utworzone monstrualne parostki, pochodzące ze zbiorów Hofjägermeistra v. Blome z Enten.

Fig. 5 przedstawia rogi kozła zabitego w Griesen w Badenji w roku 1905. Ten najmniej jeszcze odbiega od normalnego szóstaka. Odnoga tylko jedna, jakby w późniejszym czasie odłamana od głównej gałęzi, zrosła się znowu z nią i w tył wygięła. Nie szkodziło to, jak widzimy, nic reszcie budowy parostków i wspaniałemu uperłowaniu.

Dla uzupełnienia powyższych odmian przedstawiam jeszcze jeden niezwykły okaz monstrualnych parostków, dający ciekawy przyczynek do badania nienormalności rogów cerwidów. Pochodzą one z Prus Wschodnich, majętności Guttwallen, a interesują nas przedewszystkiem z tego względu, iż na ich uformowanie wpłynęły dwa odmiennie działające środki.

Przedewszystkiem zastanawia siła górnej partji i jej szuflowatość. Skłonność do tworzenia szufli, jak u daniela, okazuje się już przy przednich odnogach nadczołka, w wyższym wszakże jeszcze stopniu w górnych odnogach. Jeżeli badać będziemy przyczynę tej niezwykłej formy, to dojdziemy, iż to są t. zw. neoplastyczne objawy (rozmnożenie komórek siatkowych) w spotęgowanej mierze.

Wiadomo, a szczególnie spostrzeżenie to zrobić można w botanice, iż przez zbyt silne doprowadzanie części pożywnych do organizmu, lub przez odcięcie kilku odnóg rośliny, doprowadza się odnośny organizm do niezwykłej wielkości, czyli gigantyzmu. Znany jest ten sposób doskonale ogrodnikom, którzy przez ucięcie kwiatu lub też pędów młodych, osiągają nienormalnie wielkie owoce, lub kwiaty.

Wl. Janta Połczyński.

(*D. c. n.*).

JASTRZĄB-GOŁĘBIARZ.

Monografja myśliwsko-przyrodnicza.

(*Dokończenie*).

Przytaczam dosłownie za ks. Niedbałem wykaz zjedzonej przez jedną parę młodych gołębiarzy zwierzyny w ciągu 16 dni: „Obserwowano parę jastrzębi, znoszących żer dwojgu młodym, które wybrano z pieleszy i przymocowano do kołków, wbitych u stóp drzewa, na którem znajdowało się gniazdo. W gnieździe znaleziono świeżo umorzoną kuropatwę oraz szkielety wrony i starej kury domowej. Dnia 27 czerwca, w trzy godziny po wybraniu młodych, rodzice przynieśli drozda, wieczorem dzikiego gołębia, dnia 28 rano zajączka, wieczorem orzechówkę i zielonego dzięcioła; dnia 29 rano nic, w południe kuropatwę; 30-go rano sójkę i gołębia dzikiego, po południu młodą sowę; dnia 1-go lipca rano gołębia dzikiego, w południe zająca; 2-go nie przyniosły nic przez cały dzień. Dnia 3 lipca nie obserwowano; 4-go rano kuropatwę i dzięcioła pstrego, wieczorem gołębia; 5-go w południe gołębia domowego i jarząbka, wieczorem drozda; 7-go rano drozda i wronę, wieczorem wiewiórkę; 8-go rano dwie orzechówki i wronę, w południe wiewiórkę, wieczorem drozda i gołębia dzikiego; 10-go lipca gołębia domowego, w południe gołębia dzikiego; 11-go rano kuropatwę i drozda, w południe sójkę; 12-go rano kurczaka, w południe sójkę, wieczorem młodą sowę. Razem więc w przeciągu dni 16-tu zjadła żarłoczna para ptaków i zwierząt użytecznych: 7 gołębi dzikich, 5 drozdów, 4 kuro-

patwy, 2 zające, 2 kury domowe, 1 jarząbka, 1 gołębia domowego, 2 dzięcioły, 2 sowy, 2 orzechówki; ze szkodliwych tylko 3 sojki, 3 wrony i dwie wiewiórki"·

Z powodu ogromnych szkód, jakie wyrządza w lasach, w polu i na obejściach, polują na niego w innych krajach zawzięcie; u nas używa jeszcze wiele swobody, zwłaszcza na wschodnich naszych kresach. Mało kto zadaje sobie trud, aby wyszukiwać jego gniazda i niszczyć w zarodku zbójeckie plemię, mało kto wreszcie odróżnia gołębiarza od innych, mniej szkodliwych, a raczej pożytecznych jastrzębi — niewinne myszołowy, pustułki, w najlepszym razie błotniaki giną, a gołębiarze żyją i dziesiątkują łowną zwierzynę. Niema u nas jeszcze należytego zrozumienia racjonalnego łowiectwa, niema myśliwych-przyrodników z wyrobionym zmysłem spostrzegawczym. Kto kiedy dostrzega, maskującego swój pobyt gołębiarza, kto się nim interesuje, zwłaszcza w obecnych powojennych czasach? A najmniej zna go służba leśna. Gdyby ją pouczono należycie o gołębiarzu, oddawałaby gospodarstwu łowieckiemu cenne usługi, komuż bowiem łatwiej spotkać się z nim, jak nie leśniczemu, lub gajowemu podczas codziennych obchodów?

Polowanie na gołębiarza nie jest łatwe, bo trzeba umieć pokonać przebiegłość i czujność ptaka. Łatwiej idzie ono przy pomocy puhacza, którego jastrząb serdecznie nienawidzi i na którego z pasją uderza. Polując z puhaczem, trzeba i tę okoliczność mieć na względzie, że gołębiarz zwykle raz tylko rzuca się na wroga i zaraz odlatuje. Trzeba go więc za pierwszem zjawieniem się strzelić.

Chwyta się go także w samotrzaski Do tego celu służy duża klatka o 1½ m. długości, szerokości i wysokości. Oddalenie szczebli drucianych lub mocnych drewnianych wynosić winno ½ dm. Wieko odchyla się w górę na zewnątrz, ale spada ono automatycznie siłą odkręcającej się linewki, jak to się odbywa w samotrzaskach na ptaszki. W połowie klatki daje się przegrodę drucianą, pod którą na środku dna przywiązuje się krótko za nogę do wbitego kołeczka żywego białego gołębia lub kuropatwę. Zabezpieczonej w ten sposób przynęty nie wyjmie jastrząb bokiem przez szczeble. Wieko się odchyla następnie i łączy jego przednią część zapomocą sznurka i języczka z prętem, wiszącym wolno tuż nad siatką drucianą i jego końcem, wystającym w stronę odchylonego wieka, w którym jest odpowiednie nacięcie. Wieko, dążące do zamknięcia się, powstrzymywane przez języczek, powoduje naprężenie pręta, który miewa poprzeczne ramiona na kształt krzyża. Wystarcza najlżejsze dotknięcie się pręta, aby języczek puścił i wieko z trzaskiem i impetem klatkę zamknęło.

Tak przygotowany samotrzask stawia się na wysokości 2 m. na słupie lub gałęzi na skraju sadu lub lasu, w miejscu ze wszystkich stron widocznem, a przez jastrzębia odwiedzanem. Ten, zoczywszy przynętę, okrąża najpierw klatkę, chcąc dostać gołębia szponami przez szczeble; gdy tego uczynić nie może, podrażniony trzepotaniem się ptaka, uderza z góry i zaczepia skrzydłem o pręt, który spada i powoduje zamknięcie wieka. Złowionego zabija się uderzeniem kija w głowę.

W żelaza chwyta go się także dość łatwo; trzeba je jednak umieć umiejętnie nastawiać.



Gołębiarz w żelazach. — Fot. p. Meske.

Gołębiarza trudno oswoić. Nie przyzwyczaja się ani do klatki, ani do człowieka. Siedzi w niej zawsze odęty, zły, z całym światem w niezgodzie, wodzi tylko strasznemi oczami po otoczeniu i trzyma w pogotowiu swoje ostre szpony. Zawsze jednaki, niepoprawny, podstępny i krwi chciwy.

W czasach dawniejszych umiano zapewne i w Polsce oswajać młode gołębiarze i zaprawiać do polowania. Jako inteligentne i łatwe już po oswojeniu do użycia w polu, oddawały sokolnikom dobre usługi. Ułożonego gołębiarza stawiano na równi z dobrym wyżłem. Nie dorównywał on jednak nigdy rarogowi, lub choćby wędrownemu sokołowi.

Dzisiaj, niestety, należy polowanie z sokołami

lub jastrzębiami u nas już do przeszłości, a szkoda wielka, boć to bodaj czy nie najbardziej emocjonująca myśliwska rozrywka!

W Persji i w Indjach, a nawet w niektórych okolicach Jugosławji i Albanji sport ten jeszcze kwitnie; umieją tam i dzisiaj oswajać gołębiarza i układać do polowania. Wielki pisarz i myśliwy starożytnej Grecji, Xenofont, wyraźnie wspomina w swojem dziele myśliwskiem o używaniu przez Persów gołębiarza do polowania.

Według zapisków Thompsona, należy on w Persji do rzędu znakomitych ptaków myśliwskich, a to z powodu swojej inteligencji, szybkości, wytrwałości i siły. Polują z nim na dropie, gęsi, kaczki, ibisy, pawie i zające. Im dłużej się go używa, tem lepszym się staje; przyzwyczaja się łatwo do ludzi i psów i wykazuje dużą podatność do nauki. Wraca na każde zawołanie na dłoń i cieszy się przed wyruszeniem na łowy. Szczególniejszą zaś inteligencją odznaczają się samice. Za sztukę dobrze ułożoną płacą tam 500 i więcej zł.

Przypuszczać należy, że wrodzone myśliwskie zdolności gołębiarza rozwija i podnosi tam gorący klimat Iranu.

Jesteśmy u kresu biografji gołębiarza. Chodziło mi w niej o to, aby największego u nas wroga drobnej, łownej zwierzyny, a więc wroga łowiectwa i gospodarstwa opisać, o ile możności na podstawie autopsji wiernie, że tak powiem z fotograficzną dokładnością, wykazać jego nadzwyczajną szkodliwość i spowodować powszechne i bezwzględne tępienie go o każdej porze, szczególniej na wiosnę i przy każdej sposobności.

Być może, że znajdzie się przyrodnik, który będzie bronił gołębiarza choćby takim argumentem, że przeprowadza on w przyrodzie pewną selekcję, zabijając tylko chore lub upośledzone zwierzęta, że przyroda wie, co czyni itd.

Ja jednak twierdzę, że gołębiarz niszczy zarówno zdrowe, jak i chore zwierzęta, że ani najmądrzejsza kuropatwa, ani najzdrowszy gołąb, czy bażant nie ostoją się przed nim, skoro je dostrzeże; sprzątnie je prędzej, czy później, bo — wszystkie przewyższa nieskończenie swoją inteligencją, sprytem i siłą. Niszczeniem drobnych szkodników, które zresztą napada tylko w czasie głodu, spowodowanego brakiem pożytecznej zwierzyny, nie wynagradza w żadnym stosunku tych szkód, jakie w gospodarstwie człowieka wyrządza.

Do ozdoby rewirów także niczem się nie przyczynia, a na ochronę, jako zabytek przyrody, nie zasługuje wcale.

Wyginęło już tyle zwierząt, nie koniecznie szkodliwych lub zawadzających człowiekowi, jeśli nie bezwzględnie pożytecznych, może zginąć i ten rabuś okrutny.

Władysław Gürtler.

W Rzeszowie, w styczniu 1925 r.

Wspomnienia żołnierza myśliwego.

2

PUSTYNIA KALAHARI.

Nowe nasze życie, jakie pędzić zaczęliśmy wśród otaczającej nas dokoła pustyni, było dla nas pełne dziwnego uroku i czaru. Otaczała nas wokoło przestrzeń nieprzejrzana, step dziewiczy i natura nietknięta i niezdeptana nogą ludzką; nieznana dal niepohamowanie pociągała nas ku sobie swą tajemniczością, upajała nas swoboda i nie krępowana niczem wolność; byliśmy młodzi, zdrowi, pełni życia i energji niespożytej, ufni w swe siły, chciwi wrażeń i przygód. Uśmiechało nam się wszystko i myśmy cieszyli się wszystkiem co nas otaczało, wszystko rokowało nam pomyślność — dalecy byliśmy od smutku i przeczuć jakichkolwiek nieszczęść.

Kalahari nie jest pustynią w prawdziwem tego słowa znaczeniu i możnaby prędzej nazwać ją wysokim stepem, ciągnącym się od jezior Nigami do Pomarańczowej rzeki na południe i od gór Namaqua do granic Transvaalu, na przestrzeni olbrzymiej. Serce też pustyni tworzy piaszczysta wydma falista, którą jakiś poszukiwacz złota trafnie porównał „z zamarzłem morzem i zastygłymi na niem wzburzonymi bałwanami". Nie brak tu na tej olbrzymiej dali rwących potoków w porze deszczowej, a w czasie suszy przepastnych koryt wyschłych; mamy tam również kilka wielkich jezior, gnijących topielisk, a gdzie tylko trochę wilgoci, wszędzie tam ciemne lasy o niebotycznych drzewach i rozłożystych konarach, o pniach często mających 50 metr. objętości — nie rzadko nad cichą tonią jeziora lub rzeki długiem pasmem ciągną się istne rajskie ogrody, o smukłych palmach, pełne soczystych owoców, barwnego kwiecia, wrzasku papug i małpiego skrzeku, pasmo gór przecina część zachodnią pustyni i niknie w jej bezbrzeżnej przestrzeni. Tej dziewiczej krainy nie tknęła jeszcze chciwa dłoń białego zaborcy, więc przedstawia ona jeszcze praw-

dziwe zwierzęce Eldorado, gdzie na rozległych pastwiskach, w pełnym spokoju i wzajemnej harmonji, pasą się niezliczone stada gazelli, antylop, bawołów i słoni, zebr, strusi i żyraf. Hippopotam rozkoszuje się w bagnistej kąpieli, a nosorożec w gęstej dżungli samotnie się wałęsa za pożywieniem. Lew, pantera, lampart, hyena i cała gawiedź drobnych rabusi, kręci się tu nieustanie za pewną i łatwą zdobyczą. — Te piękne tereny miały stać się na czas długi dla mnie miejscem stałego mego przebywania, mym domem niemal codziennym.

W mym oddziale miałem przeważnie doskonałych strzelców zawodowych i dobrych myśliwych. Znajomością łowów, doświadczeniem myśliwskiem przewyższał jednak wszystkich strzelec Bartek, Ślązak. Jego myśliwska pasja, wesołe usposobienie i inteligencja zbliżyły nas ze sobą i wkrótce stał się nierozłącznym towarzyszem mych wypraw i wycieczek dalekich, a w mej nieobecności mym zastępcą w komendzie fortecznej.

Dziś polujemy na drobną zwierzynę i pentarki, w celu zaopatrzenia naszej spiżarni. Nigdy nie mogę do syta upoić się strzelaniem do tych miłych ptaszyn i już sporą mam ich kupę przy siodle, a jeszcze ciągnie mnie chęć zabicia czegoś. Nie uszedłem i kilkadziesiąt kroków, gdy w wysokiej trawie jakiś zwierz nagle się poruszył, zaszeleściały zeschłe badyle; podążam pośpiesznie za śladem i w chwili, gdy spodziewam się ujrzeć zbiega, nad trawą ukazuje się płaski, trójkątny łeb ogromnego gadu, szykującego się do ataku. Byłem tak przerażony tem nieoczekiwanem zjawieniem się tego potwora, żem na mgnienie oka zapomniał o trzymanej w ręku fuzji i zanim oprzytomniałem B. wpakował potworowi nabój śrótu w jego przebrzydłą głowę, ocalając mi życie.

Strudzony dzisiejszą 10 godzinną przejażdżką— zasnąłem wcześniej snem twardym na mem polowem łożu. Około północy ryk bydła przeraźliwy, rżenie koni, bek owiec i kóz, zmieszane z ujadaniem i wyciem naszych 20 psów postawiło cały obóz na nogi. Z bliskiej dżungli dochodził wrzask hyen i płacz szakali. Nagle wszystko przycichło, nawet brzęk komara nie zamącił grobowej ciszy. Nie umiałbym opisać tego uczucia, jakiego w tej chwili doznałem, gdy tę ciszę przerwał straszny, do grzmotu bliskiej burzy podobny, ryk lwa tuż pod murami fortecy, a gdy ten groźny głos poraz wtóry wstrząsnął pasadami naszego budynku, zimny dreszcz przebiegł po mem ciele i teraz jasno pojąłem, dla czego myśliwi lwa królem zwierząt nazywają. Na ten ryk straszny wszystko zamierać chwilowo musi i wątpię, by był myśliwy, któryby nie zadrżał przed nim. Przesiedzieliśmy w gorączkowem oczekiwaniu do dnia, a gdy ranek zaświtał, z 12 strzelcami wyszedłem na poszukiwanie tego króla pustyni. Tuż pod fortecą leżały niedojedzone szczątki antylopy kudu, a połamane krzewy i zdeptane trawy świadczyły wymownie o nierównej walce antylopy z napastnikiem. W mniemaniu, że lew w najbliższą noc powróci do swej ofiary, zasiadłem z kilku strzelcami na czatach z samego wieczora, lecz zwierz widocznie wolał zapolować na świeżą zdobycz, niż wracać do rozkładającego się już mięsa.

Urządzałem samopały i zatrzaski z przynętą. Pierwsze okazały się mało praktycznemi, gdyż zaledwie 2—3 sztuki hyen w podobny sposób dostałem; żelaza pomyślniejsze dawały mi rezultaty.

Nie ma chyba w całym zwierzyńcu Bożym wstrętniejszego czworonoga nad hyenę. Wszystko co wstrętne, brzydkie i plugawe połączyło się w tem niechlujnem stworzeniu, a im dłużej się z niem obcuje, tem większą odczuwa się do niego odrazę i obrzydzenie: rodzi się chęć wytępienia tego prawdziwego brzydactwa. Przybysz europejski pierwszej nocy zapoznaje się najpierw z jej strasznym wrzaskiem i od pierwszej chwili staje się jej zaciętym wrogiem i prześladowcą. Rozróżniają tu dwie ich odmiany, a mianowicie: północną pręgowaną (hyena striata) i południową (h. crocuta). Budową i formami siostrzane te dwa stworzenia nie różnią się od siebie, obie na wysokich przednich nogach niezgrabnych, a niskich tyłach, co je jakby garbatemi czyni, obie o mordach i paszczy do psa podobnej, tył głowy, układ oczów i uszy coś ze świnią mają wspólnego. Ciemne, ponure, a pełne dziwnej chytrości małe oczy, rzucające skośne z podełba spojrzenia, nadają temu zwierzęciu jeszcze wstrętniejszy wygląd. Zawsze pomięte rudawo-szare futro, ciemnemi plamami lub pręgami upstrzone, o czarnym ogonie do kolan sięgającym i wiecznie zwichrzoną czarną sterczącą grzywą dopełniają jej brzydoty. Ukąszenie hyeny jest dość tępe, lecz siła pyska, strasznymi kłami opatrzonego, jest zdolna miażdżyć najgrubsze kości, a raz pochwyconego w nie przedmiotu żadna siła nie jest w stanie jej odebrać. Hyena należy do stworzeń niemych, jest dość bojaźliwa, pojedyńczo unika i lęka się człowieka, w gromadzie zgłodniałe niekiedy zastępują mu drogę. W tych krajach gorących, gdzie nikt o uprzątnięciu padła nawet w bliskości osad ludzkich nie troszczy się, hyena jak i sęp sprawuje użyteczną czynność grabarzy.

Jej chytrość i brzydotę dobrze określa legenda, którą tu przytoczyć sobie pozwalam. „Na początku stworzenia zwierząt, lampart i hyena miały futra bezbarwne, osłaniała je szerść jednakowa, co wreszcie u zwierząt wzbudziło dla nich wzgardę i niechęć. Trapiło to niepomiernie

pretensjonalnego lamparta, więc udał się o poradę do ludzi, a ci wskazali mu malarza mogącego go upiększyć wzorzyście; poszedł więc do niego, zawarł umowę, na mocy której przez rok cały winien był żywić kunstmistrza, a po upływie tego terminu artysta zobowiązał się upiększyć mu futro najpiękniejszemi farbami i wzorami. Wesoły kot od tej chwili dusił bydło, kradł owce i kury, i najlepsze kąski znosił malarzowi, za co ten upiększał go najlepszemi farbami: pysznił się zalotny zwierz swym wyglądem przed ludźmi i zwierzętami, co pogrążyło hyenę w większą jeszcze ponurość i osamotnienie. Włóczyła się pogrążona w smutku po pustyni unikając wszystkiego, aż figlarny lampart ulitowawszy się wskazał jej owego artystę-malarza. Uradowana zawartą umową rabowała w całej okolicy wszystko co się dało, a zjadając sama najlepsze części, ochłapami żywiła malarza. Gdy nadszedł czas upiększania skóry podłego stworzenia, oszukany i rozgniewany artysta zmieszał najgorsze i najordynarniejsze farby, wymazał niemi hyenę, jeden bok popstrzył ciemnemi plamami, o drugi wytarł swój pendzel na pośmiewisko całej ludzkości i zwierząt".

Przedsięwziąłem dalszą wycieczkę w towarzystwie kilkunastu strzelców i kilku zaprzyjaźnionych z nami plemion Beczuenów i Buszmenów. Drugi dzień jesteśmy w sercu Kalaharskiej pustyni, a mimo to nie mamy jeszcze żadnej poważnej zdobyczy. Wieczór nadchodzi, słońce dawno przebiegło swą kolistą drogę i schowało się za dalekie góry, noc rozpostarła nad ziemią czarną swą płachtę, dokuczliwe zimno przejmuje do kości i zasnąć nam nie daje. Ciszę niekiedy przerywa huk pękających w chłodzie nocnym rozpalonych zwrotnikowem słońcem upalnego dnia kamieni, czasem jak jęk podziemny, jak ciężkie grubowe westchnienie dalekie, głos jakiś się odezwie, zatrąbi krótko słoń gdzieś daleko. Wreszcie zasnąłem gdy tuż nad głową rozdarł ciszę raptowny wystrzał, to warty strzelały do podchodzącego do obozu zwierza. Świta, wschód pustyni zaróżowia się, wierzchołki gór z ciemnych przechodzą w fioletowe, a ich szczyty jaśnieją złotawem światłem wschodzącego słońca. Buszmeni naglą do wyjazdu, dopijamy naszą kawę, siadamy na koń i poddajemy się rozkazom czarnych dzikusów. Rozciągnięci w długą linję, której środek zajmuje mój oddział, czas jakiś posuwamy się powolnym krokiem naprzód, a nim nasz wzrok mógł cokolwiek rozróżnić w fioletowej dali, jeden z Buszmenów swym orlim spojrzeniem dostrzegł tabun pasących się antylop.

Władysław Czerniejewski.

(d. c. n.)



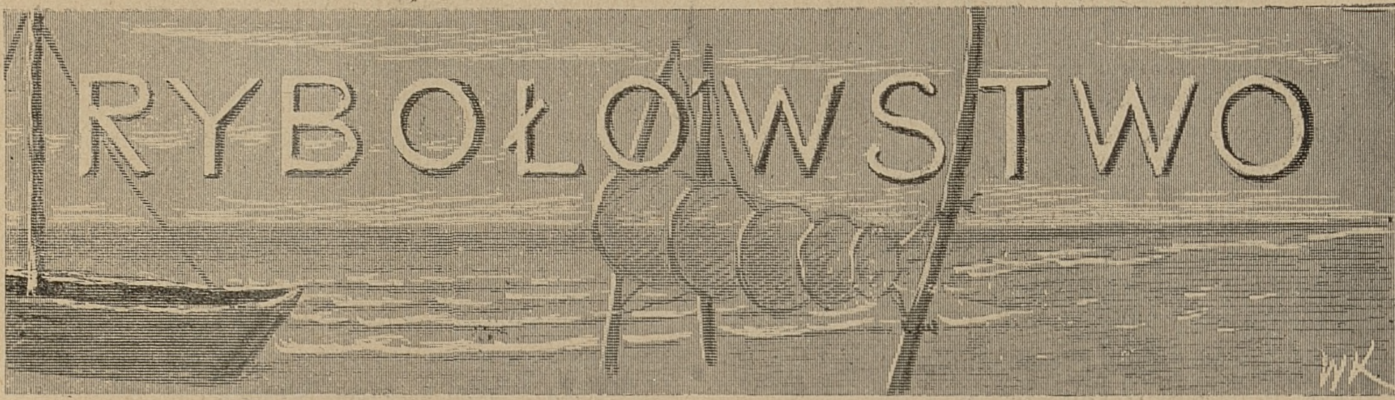
Zamknięcie dyskusji w sprawie Midlanda.

(Od Redakcji).

Redakcja nasza zamyka polemikę w sprawie Midlanda. W myśl zupełnej bezstronności pomieściliśmy głosy pochlebne oraz niepochlebne.

Polemika zarówno w naszem piśmie jak i w „Łowcu Polskim" (z wyjątkiem nietaktownego artykułu p. Morstina), prowadzoną była rzeczowo i objektywnie.

Zdanie nasze jest identyczne co do Midlanda ze zdaniem „Łowca Polskiego". Nie uważamy tej broni za najlepszą, a podane przez p. gen. Macewicza odległości przypisujemy łatwym podczas wodnych polowań złudzeniom wzrokowym. Strzelanie z broni śrótowej na zbyt wielką odległość uważamy zresztą za rzecz wysoce niewskazaną.



Niebezpieczeństwo, które dziś grozi rybołówstwu.

Rybołówstwo dzikie dzieli się na 2 kategorje; na rybołówstwo na wodach zamkniętych i otwartych. Do wód zamkniętych należą wody nie mające bezpośredniej łączności z innemi wodami. Jeziora przez które przepływają strumyki, rzeczki lub spławne rzeki należą do wód otwartych.

Kraj nasz na kresach wschodnich posiada przeważnie jeziora otwarte.

Rybołówstwo w Polsce traktujemy po macoszemu, każdy ma prawo łowić ryby choćby najszkodliwszemi narzędziami.

Pozwolę sobie porównać traktowanie u nas rybołówstwa z myślistwem. Gdyby myśliwy zwierzynę w stanie kotnym wyłapał w sidła myśliwstwo by zaginęło... Rybołówstwo dąży dziś do upadku w sposób podobny.

Jeziora i rzeki naszego kraju dostarczają na zagraniczne rynki zbytu ryby najpośledniejsze: drobinę i średnicę.

Zagranica zaś przysyła do nas ryby wyborowe i szlachetne. Dlaczego czynniki rządowe nie starają się zaprowadzić racjonalnej gospodarki na terenach państwowych i prywatnych?

Dużo mamy jezior, należących do większej liczby właścicieli, którzy posiadają na niem prawo łowienia ryb. Co się dzieje na takiem jeziorze?

Czy wiedzą właściciele, że rybacy tępią każdą rybkę o każdej porze roku, nawet w czasie tarła. Na takich wspaniałych jeziorach ryby zmuszone są odbywać tarło na największych głębiach; ikra spada na dno, ryby ją zjadają, a po części gnije, z powodu braku ogrzania przez słońce.

Jeżeli zaś przez jezioro przepływa rzeka, zwłaszcza spławna, a na niej uwijają się rybacy, wówczas rzecz ma się jeszcze gorzej.

Chcę wspomnieć o jeszcze jednej metodzie niszczenia naszego rybostanu. Niektóre tereny wodne są zarośnięte szuwarem, sitowiem i trzciną.

Wielu właścicieli cieszy się z tych zarośli, gdyż w nich przebywa moc kaczek.

W zaroślach takich ginie pewna część ryb. Woda przez silne rozgrzewanie się przechodzi szybko w stan zepsucia zwłaszcza, jeśli dno jest torfiaste.

Jednak najgorszym ze szkodników dla rybołówstwa nie jest ani czapla, ani wydra, lecz rybak-dzierżawca, zwłaszcza narodowości żydowskiej.

W przyszłym artykule podam pewne wnioski zmierzające do naprawy naszej błędnej gospodarki.

Leonard Dreczkowski.



Tańczące kobry.

Na białych placach w Singapurze
Złociste słońce lśni i pali:
Mdleją w ogrodach wonne róże,
Drzemią w hamakach ludzie biali.

W cichem powietrzu wiatr nie gwarzy,
Nie drżą korony palm w przestrzeni,
I tylko na porządku straży
Stoją brodaci policemeni.

Nieliczni kryją się przechodnie,
Pod arkadami w cień filarów,
Nim słońce zgasi swą pochodnię
I przyjdzie noc — bogini czarów.

Już mrok rozpłynął się w przestworzu,
Niebo odziało płaszcz z purpury,
I świeży wiatr zrodzony w morzu
Ożywił białe, senne mury.

Mkną samochody, pędzą ryksze,
Tłum barwny na ulicach wzrasta,
Coraz bujniejsze, coraz dziksze,
Wre życie bajecznego miasta.

Pod groźnym murem chramu Sziwy,
Kędy się snuje mrok pajęczy,
Drobnej piszczałki głos lękliwy
Wciąż monotonną nutą dźwięczy.

Chwieje sie sennie tors brązowy,
Szaleństwa płomień z oczu bije,
A wkoło płaskie syczą głowy
Śmiertelny taniec tańczą żmije.

Niby ljan długich zwoje giętkie
Niby ruchome wodne kręgi,
Ruchy powolne, to znów prędkie,
Plączą i łączą straszne wstęgi.

Ciekawie liczna gawiedź patrzy.
Gra fakir piosnkę obłąkańczą.
Blask słońca pada coraz rzadszy.
A kobry tańczą, tańczą, tańczą...

* * *

I trwa ruch w mieście aż do rana,
Rankiem się fakir do snu kładzie,
Wówczas na piersi swego pana
Bezzębne kobry śpią w bezwładzie.

Jerzy Marlicz.

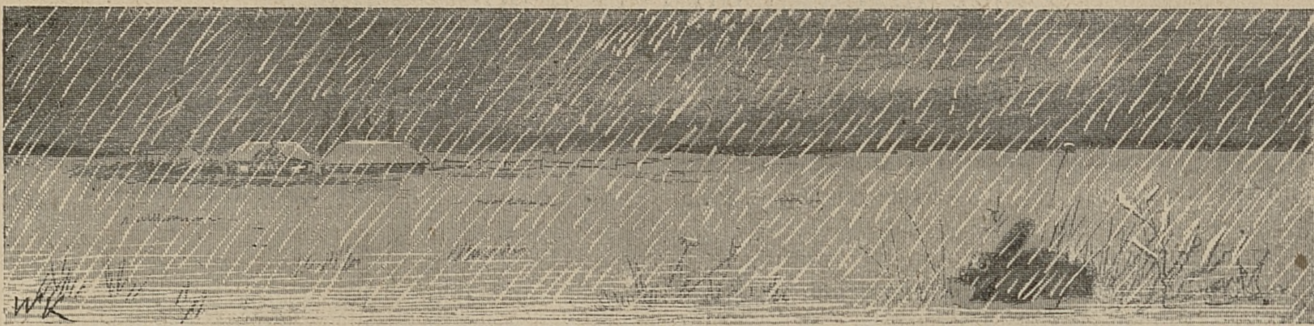


W SPRAWIE HODOWLI ZWIERZYNY.

(*Dokończenie*).

Oprócz lisów zabiłem na Ukrainie mnóstwo drapieżników jak: kun, tchórzy, łasic, orłów, puhaczy; jastrzębi gołębiarzy około setki i przeszło trzysta siwych wron. Doprawdy gdybym był przyjechał na Ukrainę prosto ze stron rodzinnych (Śląska) gdzie drapieżników bardzo mało się widuje, byłbym nie wierzył, żeby w takich warunkach bażanty hodować można. A jednak po kilkoletniej pracy dochodził roczny odstrzał kogutów do sześciuset sztuk, przyczem sprzedawaliśmy rocznie także po kilkaset kur i kilka tysięcy jaj. Rozumie się i inna zwierzyna tak samo znacznie się rozmnożyła i przybyło sporo sarn, danieli, a zajęcy, których poprzednio prawie nie było, bito rocznie około trzechset sztuk.
To samo było i w Wierzchowni, z tą różnicą, że trochę bażantów (pochodzenia Biało Cerkiewskiego) już tam zastałem. W Wierzchowni zwierzyna była bardzo starannie karmiona i pilnowana. W lasach i parku były pólka dla zwierzyny, obsiane koniczyną, rzepakiem, prosem, gryką, W porze zimowej szykowano stożki siana dla zwierzyny i rozwożono buraki oraz marchew. Danieli i sarn było po kilkaset; zajęcy bito rocznie także około trzystu, a ile było bażantów można sobie wyobrazić, skoro można było sprzedawać rocznie pięć—sześć tysięcy, a w czasie wybuchu wojny — nawet osiem tysięcy jaj i to od bażantów trzymanych nie w wolierach, ale na swobodzie!

Niestety, z szatańskim sprytem uplanowana burza, wszystko to zniszczyła. *M. Hoinka.*



Uwagi starego śledziennika.

Nie tak dawniej bywało. Dziś gdy polowanie, to przytem sute i luksusowe przyjęcie, fety, wina, szampany, i często, niestety, hazardowne gry.

Jeśli zjadą dalsi goście już dnia poprzedniego, to zamiast udać się na odpoczynek po podróży, by następnie wstać wcześnie, bawią się do późnej nocy, tak, że ich rano dobudzić się nie można. Stąd też maruderstwo, opóźniony wyjazd i marnowanie krótkiego jesiennego lub zimowego dnia, niewyspanie, przemęczenie, a co za tem idzie i zdenerwowanie.

Około południa ciepłe śniadanie w lesie, z kilku potraw i przystawek złożone, przy czem krążą kielichy z rozmaitemi nektarami, oszałamiającemi głowę, którą do reszty zawracają obecne przy śniadaniu piękne panie.

Znowu przez to dłuższa strata czasu a po takiem obfitem śniadaniu i libacji ciało i zmysły do reszty odmawiają posłuszeństwa.

Zmierzchać już zaczyna—więc powrót do domu i kilka miotów, które opolować się miało — pozostaje nietkniętych (to najmniejsza szkoda — przypisek zecera).

W domu natychmiast rozpoczyna się gorączkowe przebieranie we fraki lub smokingi, gdyż panie... (znów te panie!)... czekają już z obiadem.

Menu bardzo długie i wspaniałe, obficie skrapiane francuskiem winem, więc zmęczenie napozór znika, zwłaszcza iż nadobna sąsiadka przemile podtrzymuje rozmowę i pobudza fantazję.

Ledwo podano czarną kawę, już się odzywa w salonie muzyka. Młodzież sunie (dosłownie) w trooty i steepy, jawy i bloussy, a starszyzna zasiada do zielonego stolika.

. . . .

... W kilka dni potem czytamy:

„Rozbawieni goście dopiero nad ranem opuścili gościnne progi państwa X-ów“... i t. d. ... bo tak brzmi zwykle końcowy ustęp o odbytem polowaniu w .....ówce lub w ....owie u państwa X-ów lub Y-onów.

A teraz do rzeczy:

Czy takie przez kilkanaście godzin trwające przekarmianie się, przepajanie, przemęczanie, niedosypianie, może być dla organizmu zdrowe? Czy łączenie tylu różnych wrażeń na raz — nie osłabia ich wartości? Czyż sam urok kniei i polowania nie wystarcza, by: „unieść jaknajmilsze wspomnienia o staropolskiej gościnności państwa X-ów“ — choćby przyjęcie myśliwych było znacznie skromniejsze? Czy zabawy tańcującej gwoli rozrywki pań i młodzieży nie można urządzić w innym czasie, bez poprzedzającego przemarznięcia, przemoknięcia i przemęczenia podczas całodziennego pobytu w kniei? Czy werwa w tańcu nie byłaby wtedy większa i fantazja górniejsza?

Sądzę, że tak.

Bo zdrowsze na żołądek (i na kieszeń) jest śniadanie myśliwskie o zrazach lub bigosie, a po polowaniu obiad z barszczykiem lub piwną polewką z twarogiem, znakomicie rozgrzewającą i posilającą — aniżeli wyszukane smakołyki i kosztowne trunki, wpędzające drogi dziś nasz pieniądz w kieszenie zagranicznych kupców*).

Na dowód, że mam rację zaznaczę, że wielu ziemian, będąc w ciężkiem położeniu finansowem w tym katastrofalnym dla nas roku, nie mogąc dać modnego i wystawnego przyjęcia, wstrzymało się z urządzeniem u siebie polowań.

H. M.

---

*) Bo milszą i droższą jest nam nasza knieja, jeśli patrzymy na nią trzeźwi, otwartemi oczyma i nie śpiącą duszą. Bo zdrowszem jest polowanie i znoszenie jego trudów, jeśli się staje doń wypoczętym, rzeźkim i jeśli po niem nastąpi należny odpoczynek i mierne, naturalne nasycenie głodu. Dłużej trwa pamięć czarów przyrody i wrażeń myśliwskich, jeśli nie zamąci jej bezpośrednio naśladownictwo banalnych miejskich dancingów w dusznej atmosferze salonu.

Zając drzewka obgryza a poseł zająca...

(*Feljeton poświęcony „odnośnej“ Komisji*).

Problemat to ciekawy i bardzo doniosły,
Kto ma rację i czyja jest istotna wina?
„Zwierzyna jest szkodliwą“ utrzymują posły.
„Posłowie są szkodliwsi“ twierdzi dziś zwierzyna.

Niech sprawiedliwość wolna i tryumfująca,
choćby na jedną chwilę zmartwychwstanie [z grobu.
Zając drzewko obgryza, lecz poseł zająca...
Jeśli już za to tępić — to zarówno obu...

„Szkodliwym jest“ — wołacie — „rozbójnik Mykita,
niszcząc ptactwo?“ Zwierzyna wam na to odpowie:
„Prawda, że lis na śniegu kuropatwy chwyta,
ale czy tego nigdy nie robią posłowie?“.

Czyż za to nienawiścią ścigacie szaraki,
że ich zakusy grożą kapuścianej głowie,
wy, którym tak dotkliwie daje się we znaki
brak wszelkiej głowy, moi kochani posłowie?

Juljan Ejsmond.

W sprawie krytyki Słownika Łowieckiego X. L. Niedbała.

(*Odpowiedź p. J. Domaniewskiemu na Jego krytykę w Łowcu Pol.*).

W numerze 3 Łowca Polskiego p. J. Domaniewski odpiera zarzuty moje czynione Mu „ex re“ niektórych wyrażeń myśliwskich (vide Słownik Łowiecki X. L. Niedbała) i zarzuca mi pewną niezgodność w mojej argumentacji.

Ponieważ pod odnośnym artykułem jest „Przypisek Redakcji“, w którym powiedziano, że daną dyskusję uważa się za wyczerpaną, czyli innemi słowy, polemikę na ten temat Redakcja Łowca Polskiego zamknęła, zmuszony jestem uprzejmie prosić Redakcję Przeglądu Myśliwskiego o łaskawe zamieszczenie poniższych kilku słów odpowiedzi panu Domaniewskiemu.

Otóż pan Domaniewski stara się zbić moje twierdzenie co do nieprawidłowości:

1) zwrotu (skądinąd nie myśliwskiego „par excellence“) „pies wabi się na...“ zamiast pies wabi się np. (Bekas) t. j. b e z „n a“ i;

2) kwestjonuje słowo „łowiec“ utrzymując, że słowem tem określa się podrzędną służbę łowiecką.

W trzecim numerze Łowca Polskiego szczegółowo i objektywnie wyjaśniłem słuszność moich poglądów co do danych wyrażeń, nie będę więc na tem miejscu powtarzał po raz wtóry tych samych twierdzeń.

Pan Domaniewski zarzuca mi niezgodność w argumentowaniu i pisze: „raz pisze p. Ostrowski, że język polski jest tak bogaty, że wprowadzenie doń neologizmów nie jest bynajmniej potrzebne“— a dalej: „każdy żywy język ulega przekształceniom etc.“. Nie wiem jakim sposobem zestawiając te dwa zdania wysnuwa pan D. niezgodność w argumentowaniu. Sądzę, że pan D. jest w błędzie, gdyż obydwa twierdzenia moje są w bezwzględnej zgodzie i jedno drugiemu bynajmniej nie przeczy. Wprowadzenie neologizmów w guście proponowanego przez pana D. „pies wabi się na...“, które to wyrażenie, jak twierdzi dalej pan D., nie jest neologizmem, lecz raczej „archaizmem“, do którego, zdaniem pana D., — należy z p e w n y c h w z g l ę d ó w (jakich?) powrócić — nie uważam za dość silnie umotywowany argument. Wątpić należy czy tego rodzaju neologizm (archaicznego pochodzenia) zostałby przez ogół przyjęty i zyskałby sobie prawo obywatelstwa, jako zwrot choćby sankcjonowany pewnemi względami, z którymi jednak pan Domaniewski bliżej czytelników nie zaznajomił. Uważam, że wprowadzanie tego rodzaju neologizmów do naszego języka łowieckiego jest zupełnie niepożądane i zbyteczne.

Bynajmniej nie przeczę, że dla profana wyrażenia czysto łowieckiej gwary dziwnie brzmią i nie jest ich w stanie zrozumieć.

Na zakończenie dodam, że praktyka wykazuje, że bardzo wiele projektowanych neologizmów nietylko w zakresie terminologji specjalnej, lecz wogóle w potocznej mowie nie przyjęło się i nie zyskało sobie praw obywatelstwa. „A propos“.

Dziwną i smutną zarazem jest absolutna bierność i apatja ogółu czytelników-myśliwych, którzy dotąd nie zechcieli ani słowem wypowiedzieć się w danej sprawie.

Skądinąd przerwanie na ten temat dyskusji na łamach „Łowca Polskiego“ wyklucza możność dalszej wymiany rzeczowych poglądów i odn. opinji na ten bądź-co-bądź ciekawy temat, którym snadź bardzo mało interesuje się nasza brać myśliwska.

Stefan Ostrowski.